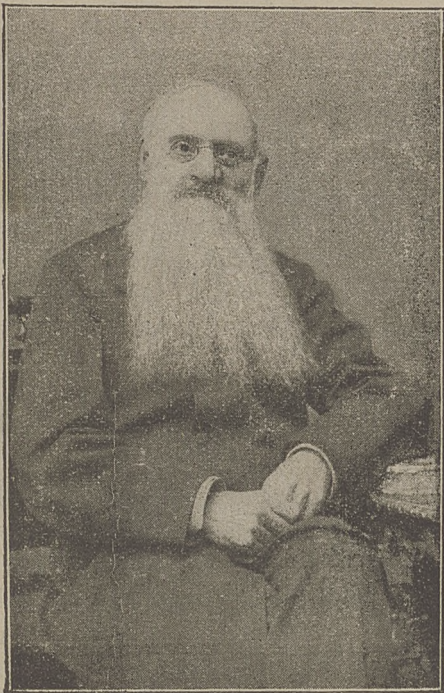




WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



JÓZEF SIKORSKI.

W dniu 4-tym z. m., zgasł człowiek którego rysy macie przed sobą. Był to artysta w całym znaczeniu tego wyrazu, kompozytor który piękne utwory zostawił i książki pisał o muzyce, myśliciel głęboki, niegdyś redaktor dwóch pism, krytyk znakomity, pracownik niezmordowany, który „w ciągłym żył trudzie, i nie znał ani pragnął spoczynku”, dobry obywatel kraju i wzorowy ojciec rodziny. Usta jego nigdy nie splamiły się kłamstwem, a żadne względy nie były w stanie go skłonić do postąpienia wbrew własnemu przekonaniu; dla tego też słowa jego miały wagę wyroków, a ci nawet co niemi bywali dotknięci, musieli go szanować i dziś ze

czcią wspominają jego imię. Obowiązek stawiał zawsze przed wszelkimi sprawami osobistymi: prawy i nieugięty, nazywany był w Warszawie człowiekiem „żelaznym” — i stanowił w czasie swej działalności dziennikarskiej szlachetną potęgę, z którą się wszyscy liczyć musieli, a która roztaczała dokoła siebie atmosferę jasną i czystą.

Wyszła niegdyś w Anglii książka p. t. *Self-help*, co znaczy *Samopomoc*. Autor, S. Smiles opowiedział w niej dla pożytku swych rodaków dzieje ludzi, którzy do wybitnego w społeczeństwie stanowiska, do sławy lub mienia, doszli o własnych wyłącznie siłach, z Bożą tylko pomocą. Gdyby u nas pisano taką książkę, to w gronie niewiast jedno z wybitniejszych w niej miejsc, zajęłaby przewodniczka niegdyś tego Pisma, M. J. Zaleska, a w gronie mężów ś. p. Józef Sikorski. Wszystko co umiał i posiadał, własnemu mozołowi zawdzięczał, a umiał wiele w przeróżnych wiedzy gałęziach, czerpiąc z niej „na wzór owadów, co z najprzedniejszych kwiatów miód zbierają”. Dzieje jego życia, to dzieje pracy bez wytchnienia, walk ciężkich, krwawego znoju i bezprzykładnej wytrwałości w pokonywaniu przeszkód, których wiele na swej drodze spotykał. Jak mimo to do świetnych doszedł pracy swej owoców, opowiemy dla pożytku i przykładu naszym czytelników.

Syn ubogich rodziców, ur. w Warszawie w r. 1813, bardzo wczesnie objawiał pociąg do muzyki poważnej, zwłaszcza religijnej. Towarzysząc pobożnej matce na nabożeństwa uroczyste, rozmiłował się w śpiewie, który go wzruszał aż do łez, i z zapalem brał udział nie tylko w pieśniach ludu, ale i w śpiewach lacińskich księży. Była to dla niego największa rozkosz. Ta wrażliwość na pieśni religijne, pozostała mu do końca życia: słuchając ich, nigdy nie mógł się od łez wstrzymać. Nauki początkowe pobierał w liceum (tak dawniej nazwano u nas szkoły męskie), gdzie dyrektorem był Bogumił Linde, znany autor *Słownika języka polskiego*. Lekcyi śpiewu udzielał uczniom Stefani, twórca pierwszej opery polskiej. Ten widząc pilność i wyróżniające zdolności chłopca, wówczas jeszcze ucznia 1-ej klasy, wspominał o nim Elsnerowi, dyrektorowi ówczesnego konserwatorium muzycznego. Elsner bywał nieraz obecny na lekcjach chórowych w liceum; wkrótce też mając sposobność ocenić poczucie muzyczne dziecka, zachęcił go, aby w wolnym czasie ajęć godzi-

nach uczęszczał do konserwatorium. Uradowało to bardzo młodzieńczego śpiewaka i oddał się z zapalem grze fortepianowej, pomimo licznych przeszkód. Ale lekcya w konserwatorium trwała tylko przez kwadrans, raz na tydzień, a fortepianu do egzericycy w domu nie było; pilnością jednak i regularnem uczęszczaniem na lekcye prof. Jawurka, Czecha, wyrobił sobie tyle uznania, że pozwolono mu w niedziele i święta grywać w konserwatorium. I podczas gdy inne dzieci korzystały ze swobody świątecznej i bawiły się, on wolne chwile poświęcał ulubionej muzyce, bo już budziła się w nim dusza artysty. Prof. Jawurek przepowiadał chłopcu świetną przyszłość, mówiąc: „Ty będziesz wielkim organistą” — a piękny jego głos i wierna intonacya, czyniły go tak niezbędnym przy uroczystościach kościelnych, że Stefani często prosił Lindego o zwolnienie ucznia od lekcyi, ponieważ obecność jego na próbie była potrzebną.

Skończywszy klas 4-ry, wstąpił do wojska jako ochotnik, i po różnych ciężkich przygodach, wrócił pod dach rodzicielski. Trudy obozowe i niewygody, zahartowały go i dały mu na długie lata zapas zdrowia, tego skarbu ludzi ubogich. Pracował on już odtąd na siebie, lekcjami, w Warszawie i na prowincyi, a mając lat 18 stracił ojca, odziedziczywszy po nim obowiązek utrzymania matki i siostry. Były to ciężkie chwile dla młodzieńca, obciążonego obowiązkami człowieka dojrzałego. Czynił też bohaterskie wysilenia, aby obowiązkom tym sprostać. Parę razy na tydzień nie bywał w domu na obiedzie, mówiąc, że jest gdzieindziej proszony — co tem łatwiej dało się upozorować, że mieszkał oddzielnie u kolegi, zajmując bezpłatnie przez trzy lata małą izdebkę i odmawiając sobie często najpierwszych potrzeb. Izdebki tej nie opalano w zimie: to też siadając wieczorem do najętego fortepianu, młodzieńcy artysta ubierał się we wszystkie swoje rzeczy, nie wyłączając czapki i kaloszy. Powoli, pod wpływem gry, zeszytywniały palce zaczynały się swobodniej poruszać i nabierały giętkości: zapal tlejący w duszy, rozgrzewał go stopniowo. Zrzuczał z siebie okrycia, jedno po drugim, bo w końcu zlewał go pot kroplisty.

Rozumiejąc, że praca wtedy tylko prawdziwie pożyteczne przynosi owoce, kiedy ma gruntowną naukę za podstawę, idzie na jej zdobycie, zbrojny w silną wolę i wytrwałość i bierze ją po żołniersku, szturmem. Pracuje nietylko nad muzyką, ale nad wszelkimi wiedzy gałęziami — a zgadując, że obce języki dają klucz do wielu umiejętności, bierze się do nich bez pomocy nauczyciela, kierowany jedynie własnym instynktem. Kupuje sobie *Przygody Telemaka* po francusku, i z pomocą jedynie wyniesionej ze szkół łaciny i słownika, tłumaczy je na język polski dosłownie. Następnie wyuczywszy się na pamięć wszystkich wyrazów, których znaczenia poprzednio nie wiedział, odczytywał kilkakrotnie tłumaczoną stronicę, a potem zamknąwszy książkę odtwarzał to samo po francusku. Błędy poprawiał znowu podług książki i wreszcie rzecz przepisywał na czysto. Sposób ten acz pracowity bardzo, okazał się wyborym. Kończąc *Przygody Telemaka*, rozumiał już wszystko. O mądrości przysłowia, że „tylko początek jest trudny”, przekonał się przy tłumaczeniu następnych książek: szło mu to już z łatwością. Takim samym sposobem uczył się po niemiecku. Mając wrodzone zdolności lingwistyczne i ucho muzyczne, łatwo przyswajał sobie właściwy akcent, a w wymowę wprawiał się czytając głośno całemi godzinami. Oto co może silna wola i wytrwałość! Znajomość obcych języków

ułatwiła mu też wczytywanie się w poważne dzieła muzyczne jakich w naszym języku nie było.

Pragnienie wiedzy było prawdziwą jego namiętnością: chciał wszystko znać, wszystko zgłębić; im co wydawało mu się trudniejszem, tem więcej się do tego zapalał. Czytał wszystko cokolwiek mu wpadło w rękę — a czytał gruntośnie, z notatkami. Miał sobie za zasadę nie pomijać żadnego wyrazu, bez zrozumienia go w znaczeniu jak można najszerszem. Szukał, szperał, badał, zastanawiał się, i dopiero gdy sobie przedmiot zupełnie przyswoił, szedł dalej. Dla tego, jedna przeczytana książka, więcej wzbogacała jego umysł, niż dziesiątki tomów jakie inni czytają powierzchownie, więcej sobie szkody przynosząc, niż pożytku; umysł bowiem przeładowany haotycznym a bezużytecznym balastem, męczy się tylko i leniwieje. To była tajemnica, dla czego pomimo braku nauczycieli, posiadał ukształcenie tak wszechstronne. Był to umysł gruntowny i głęboki, nie lubiący nic robić przez pół, i w każdej sprawie sięgający do samego dna. Ztąd, wszystko co robił, robił dobrze; wiedział zawsze dokąd szedł i czego chciał. Nie wahał się nigdy.

Spędzając dni tak pracowicie na uczeniu siebie i drugich, pozwalał sobie czas jakiś na małą wśród dnia przyjemność. Przyjemnością tą było wstąpienie na pół godziny do cukierni, gdzie wypijał czarną kawę, czytając gazetę i paląc fajeczkę. Kosztowało to 12 groszy. Gdy jednak w końcu miesiąca brakło mu pieniędzy, i jał przypominać sobie co ten brak spowodowało, doszedł że ta właśnie niewinna przyjemność, kosztowała go kilkanaście złotych w ciągu miesiąca. Wyrzekł się więc nadal tego co nazywał „niepotrzebną słabością” — a pieniądze oddawał matce. Odtąd zapisywał każdy grosz wydany, widząc w rachunku moralnego kontrolera własnych czynności. Miał też już i fortepian kupiony z oszczędności.

Dobry zwyczaj zdawania sobie sprawy ze wszystkiego, i formułowania wrażeń na papierze, dał początek literackiej karierze ś. p. Józefa Sikorskiego. Przyjaciel jego, poeta Antoni Czajkowski, odwiedziwszy go raz, zastał piszącego dla siebie jedynie, sprawozdanie z przedstawienia opery Damsego, *Kontrabandyści*. Zachwycony stylem i gruntownością poglądów, namówił młodego autora do drukowania artykułów o muzyce w *Bibliotece Warszawskiej*. Artykuły te wprawiły w zdumienie redakcyę i publiczność. Dziwiono się wiedzy, głębokości, zapalowi i poezyi piszącego. Nikt dotąd jeszcze u nas tak o muzyce nie mówił, nikt nie podejrzewał że mogą w niej być takie skarby! On odkrywał niły nowe światy. Józef Sikorski stał się nagle znakomitością podziwianą w Warszawie i rozrywaną, a wszystkie Pisma ubiegały się o jego artykuły — co też podniosło jeszcze jego wziętość jako nauczyciela. Bywało, że dawał po 12-cie i więcej lekcyi dziennie, zaczynając o świcie a kończąc późnym wieczorem. Brakowało często czasu na obiad we właściwej porze, ale znalazł się zawsze czas, choćby w nocy, na muzykę i czytanie. Był już wtedy ożenionym i musiał myśleć o utrzymaniu liczniejszej rodziny, w czem dzielnie pomagała mu żona. Zachęcony powodzeniem swych artykułów, wydał w roku 1852 *Doręcznik muzyczny*, streszczający całą ówczesną muzyczną wiedzę, oraz *Szkolę na fortepian*, wielkie mającą powodzenie. W cztery lata potem zaczął wydawać Pismo tygodniowe, *Ruch muzyczny*. Jak wszystko w życiu, tak i powodzenie tego Pisma, własnym zawdzięczał siłom. Życzliwy mu szczerze bankier warszawski Kronen-

berg, ofiarował mu wówczas zaliczki rs. 1,000 — ale ponieważ w materialne powodzenie *Ruchu* nie wierzył, przeto pomoc jego nie została przyjęta.

Pismo to istniejące lat sześć, miało niemałe powodzenie: siało zachętę i miłość dla sztuki, oraz dawało wiedzę muzyczną, której wówczas bardzo brakowało. Większą część artykułów pisywał sam redaktor, pod różnemi nazwiskami.

(d. n.)

Zofia Urbanowska.

NIEZNAJOMA Z PODDASZA

powieść przez

Bronisławę Sozawską.

(Dalszy ciąg).

Tak przeszło dni kilka, aż raz chodząc po ogrodzie, zmęczona usiadłam na ławeczce, stojącej pod oknem od biblioteki.

Naraz usłyszałam głos ojca, a że okno było otwarte, słyszałam więc doskonale każde słowo.

— Ależ pani — mówił ojciec tonem zdziwienia — czy podobna aby sobie nie można dać rady z takim dzieckiem. Jakież jej pani przypisujesz wady?

Przeczułam to raczej, że głos panny N. na razie uwiązał w gardle, po chwili jednak odpowiedziała, jakby z przykrością:

— Niemila to rzecz niekiedy, gdy przyjdzie mówić prawdę, muszę jednak na pytanie pana odpowiedzieć szczerze, Ada jest uparta, samowolna, zarozumiała, dumna do najwyższego stopnia, ja nie mam bronii aby walczyć z tem dzieckiem.

Ojciec, dobry, kochany ojciec, widocznie był obrażony tem oskarżeniem jego jedynaczki, co łatwo było poznać po głosie, który drżał nieco gdy zapytał:

— Czy pani mówi to bez uprzedzenia?

— Tak, panie, mówię sumiennie i zupełnie szczerze, bez uprzedzenia najmniejszego, mnie żal tego dziecka serdecznie żal, a jeżeli przyjąłbyś pan odemnie radę, to...

Panna N. nie dokończyła co mówić zamyślała.

Chwilę trwało milczenie.

— To? — zapytał mój ojciec — proszę, mów pani.

— Oddać Adę na pensję — rzekła panna N.

Struchlałam z przerażenia, chciałam się zaraz rozchorować, zrobić w domu zamieszanie, ale postanowiłam pierw dowiedzieć się co ojciec powie. Niestety! nie usłyszałam odpowiedzi, tylko po kilku chwilach milczenia ojciec zapytał:

— Czy pani niezmiennie chcesz mój dom opuścić?

— Tak panie, nie mogę przecie brać tak znacznej pensji za nic, bo nie zrobić nie mogę, a zresztą życie takie wyczerpuje moje siły i osłabia chęć do pracy. Muszę odjechać.

— Kiedy? — zapytał już tylko ojciec.

— Za trzy dni — odpowiedziała krótko.

Ponieważ ojciec mój, jak myślałam, nie przystał na radę panny N., nie wybuchnęłam gniewem, tylko na pannę N. spoglądałam jeszcze z większą dumą i wyniosłością.

Odjechała, w domu było cicho i spokojnie, spostrzegłam, że nieraz domownicy wzruszali ramionami, gdy z podniesioną głową wydawałam rozkazy, ale nie obchodziło mnie to wiele.

Dnia jednego, ojciec powiedział mi, że ma ważny interes wyjechać do Paryża, zapytał mnie z miną wesołą, czy nie miałabym chęci pojechać z nim.

Paryż! ach! co za radość, ucieszyłam się tak, że zarzuciłam ojcu ręce na szyję, dusząc go w uściskach.

Ojciec pieścił mię i całował, ale był smutny i zamyślony.

W kilka dni po tej rozmowie byliśmy w Paryżu.

Ojciec obwoził mię i pokazywał co było do pokazania takiej dziewczynce, która, mówiąc zupełnie szczerze, mimo swoich lat dziesięciu, ledwie że czytać umiała.

Po tygodniu takiego rozkosznego życia, dnia jednego ojciec uściśkał mnie bardzo serdecznie i powiedział, że dziś odwiezie mnie na pensję, gdzie przełożoną jest bardzo dobra osoba, która nawet jest naszą daleką krewną.

Co się ze mną działo wypowiedzieć trudno, a gdy na lzy moje i prośby ojciec odpowiedział stanowczo, że tak być już musi, gdy nie pomogło i serdeczne przyrzeczenie moje poprawy, czego dotąd nigdy nie czyniłam, powstał w mem sercu bunt i przeciw ojcu, oschły raptem w oczach lzy obficie płynące, stałam się naraz zimną, i z zupełną już obojętnością przygotowałam się do odjazdu na pensję.

Ojciec myślał, że tak przemówił do mego rozsądku, nazywał mnie swoją ukochaną, dobrą i rozumną córeczką, nie szczędził pieściot a ja nagliłam tylko, aby jechać jaknajprędzej. Pragnęłam zamknąć się, gdzie w kąciuku i wyplakać lzy cofnięte z oczu, a które mi paliły serce i dławiły w gardle.

Pojechaliśmy nareszcie, przełożona przyjęła mnie bardzo serdecznie, była to osoba nie pierwszej młodości, poważna, o wyniosłej postawie ale, dziwnej łagodności w twarzy i spojrzeniu, poznałam odrazu, że oprzeć się jej woli, będzie niepodobieństwem.

Ale cóż mnie to obchodziło, teraz? Czulałam, że z dawnej mej istoty nie zostało nic, nic, prócz dumy, aby nigdy nie zasłużyć na najmniejszą nawet nagane.

Będę maszyną, pomyślałam sobie, spełniającą wszystko to co będą chcieli, wszystko, a potem... potem, myśl moja zamęciła mi coś w głowie, bo nie wiedziałam jeszcze nic co będzie potem.

Przy pożegnaniu z ojcem, była chwila, że chciałam rzucić mu się do nóg, przeprosić za przeszłe me życie, oceniałam się już, że nie byłam wcale dobrą, ale, natychmiast pęcha, która już zapuściła korzenie do serca mego, powstrzymała mię od tego kroku, który był natchnieniem spoczywającego gdzieś na dnie duszy, lepszego, szlachetniejszego uczucia.

Zacisnęłam zęby gdy mnie ojciec ścisnął na pożegnanie i tulił w objęciu, wpiłam w dłoń do krwi prawie paznokiecie aby fizycznym bólem zagłuszyć cierpienie moralne, wytrzymałam pożegnanie z bezprzykładnym spokojem, lecz gdy się drzwi zamknęły za ojcem, chwyciłam się za serce i padłam zemdlona.

Co się ze mną działo nie wiem, gdy się obudziłam noc była, leżałam w łóżku rozebrana, przy mnie siedziała na kieżle jakaś kobieta, drzemiąca, lecz na moje poruszenie wstała natychmiast a nachylając się nad moim łóżkiem, przypatrywała mi się bacznie.

Nie mogłam na razie zebrać myśli, czulałam się osłabioną, z trudnością przychodziło mi podnieść rękę, nie dziwnego, dziewięć dni leżałam w gorączce.

Ojca nie wiedziano gdzie szukać, tego dnia jeszcze bowiem wyjechał z Paryża, a że przez kilka tygodni podróżował, przybywszy zastał już trzy listy o moim zdrowiu, razem z tym, w którym mu donoszono o mej chorobie.

Z polecenia przełożonej i ja napisałam do ojca przesyłszy do zdrowia, a w zamian odebrałam list najczulszy, pełen troskliwej miłości, z obietnicą, że wkrótce mnie odwiedzi.

Przełożona musiała także odebrać list od dobrego mego ojca, z prośbą, abym się nie uczyła czas jakiś, bo mimo, że zaczęłam już naukę, po chorobie zwolniono mnie od niej jeszcze na dwa tygodnie.

Ale to nie było mi ulgą, owszem, gorzej oddziaływało na mój humor i tak niezbyt słodki, po kilku więc dniach sama prosiłam, aby mię zabrano do pracy, której pragnęłam zacząć.

Ojciec dotrzymując obietnicy odwiedził mię w niedługim czasie, a choć i serce moje rwało się ku niemu, nie okazałam tego jednak, co się we mnie działo.

Na pensyi nie miałam ani jednej przyjaciółki, upór mój i tu dokazał swego, powiedziałam sobie, że z żadną przyjaciółką nie będę, chciałam więc dotrzymać przyrzeczenia.

Wprawdzie później byłabym chętnie zmieniła moje postanowienie, ale przez ten czas nim stajęła we mnie niezasadniona zawziętość, wszystkie koleżanki, odsunęły się odemnie.

Byłam więc samą, zupełnie samą, a położenie to, wyrabiało we mnie charakter skryty, nieufny, wyziębiało wszelkie uczucie miłości.

Potem, starałam się wmówić w siebie, że jestem istotą najmieszczęśliwszą, niewinnie prześladowaną, chciałam we własnych oczach uchodzić za bohaterkę.

Postawiwszy jeden krok na tej fałszywej drodze, brnęłam po niej dalej i dalej.

Jedyną moją pociechą była nauka, oddawałam jej się z przesadzoną także gorliwością, ale, byłam w krótkim czasie najpierwszą w mej klasie.

Tak upłynęło trzy lata, podczas których ani razu nie chciałam jechać do domu, wymawiając się różnemi pozorami, a bojąc się aby mi ojciec nie zabrał gwałtem, udawałam wesołą, zadowoloną, jednym słowem, stawałam się

obłudną, chcąc dopiąć tego, co sobie postanowiłam.

Oto obraz pierwszych lat mego dzieciństwa, pierwsza epoka życia, która w porównaniu z przyszłością, może się nazywać epoką szczęścia.

Gdybym nie była znała tego co we mnie jest złem, mogłabym się chociaż uniewinnić, ale przeciwnie, wiedziałam, że mogłabym być lepszą, miałam w duszy zarody do poczucia piękna i dobra, dwie jednak wady, może nawet nie tak groźne z pozoru, kładły na mnie żelazną swą rękę, ile razy chciałam dążyć ku lepszym uczuciom. Wadami temi były, duma i upór.

One to złamały mi życie, uczyniły samotną, w końcu, traciły mnie w ostateczną nędzę.

Nieznanoma przetarła ręką po czole, na twarzy jej pojawił się znów surowy, ostry wyraz, serce jej było widać wzburzone, ale powoli łagodniała, tkliwe jakieś uczucie brało górę, spojrzała na Wańdzię i uśmiech łagodny i smutny rozświecił jej oczy.

— Ale to na dziś będzie dosyć — rzekł pan Brzeski, postrzegając to przejście wzruszeń na twarzy kobiety — pozwolę sobie jednak zrobić uwagę, że pani oskarżasz się nadto surowo.

— Mówię tylko prawdę, nie powinnam się uniewinniać przed tymi, którzy znać prawdę powinni, młodemu przyda się nauka, jak trzeba walczyć z najmniejszą choćby wadą, bo nigdy nie możemy wiedzieć, jak daleko nas ona zaprowadzić może.

— Pod tym względem ma pani zupełną słuszość — rzekła pani Brzeska — małych rzeczy lekceważyć nigdy nie należy.

— To bardzo wielkie nieszczęście nie mieć matczki drogiej — mówiła Wańdzia smutnym głosem, tuląc się w objęcia matki — pani z pewnością byłaby bardzo dobrą będąc małą, gdyby pani miała matkę.

— Dosyć jednak na dziś tej gawędki — powtórzył pan Brzeski poraz drugi — pani jest znużoną, jutro dokończymy zaczętej opowieści.

— A może kto przeszkodzi — szepnął Władek, który z zajęciem słuchał opowiadania nieznajomej — mogą przyjść goście...

— W tych dniach nie spodziewamy się nikogo, a zdaje mi się, że do końca jeszcze daleko — rzekła pani Brzeska — zatem, dobranoc pani — dodała z uprzejmą serdecznością, ściskając rękę nieznajomej — proszę nie oddawać się nadto wspomnieniom zbyt smutnym.

— Zawsze one są ze mną — odrzekła nieznajoma ze smutnym uśmiechem — wspomnienia takie opuścić nie mogą przedzej, aż z życiem. Ale, dobranoc państwu, jutro może wcześniej zbierzemy się, abym mogła dokończyć mego opowiadania, gdyż...



Fig. 4 Gałązka morszczynu (Fucus vesiculosus).

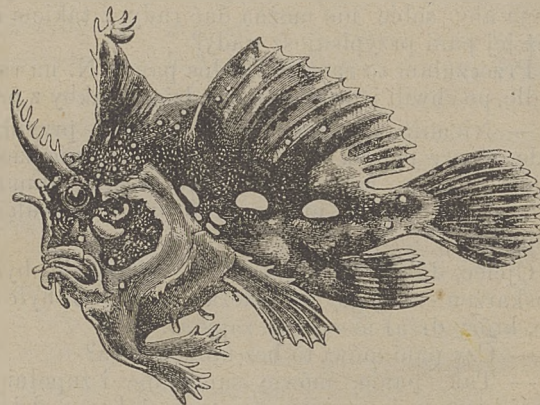


Fig. 6 Antennarius marmoratus, ryba żyjąca w pękach sargassum, połowa wielkości naturalnej.

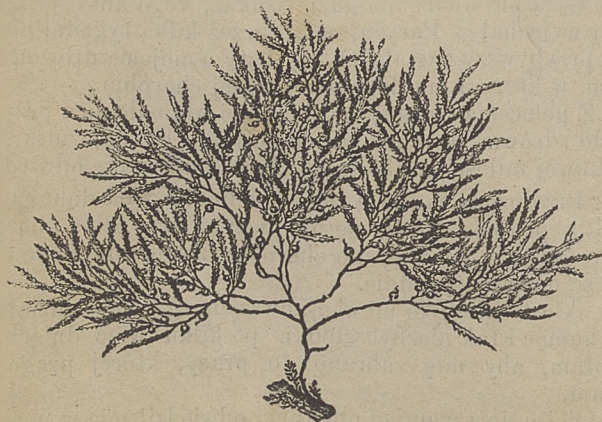


Fig. 5 Gałąź sargassum bacciferum.

— Gdyż co? — zapytała Wańdzia niespokojnie.

— Czas mi do pracy, dość długo już korzystałam z dobrodziejstwa, wyzdrowiałam dzięki waszym sercom...

— Powoli, droga pani — przerwał pan Brzeski — najzwyczajniejszego obowiązku nie podnośmy do doniosłości dobrodziejstwa, a co do pracy pani na przyszłość, to pomyślimy o tem, ale dość jeszcze czasu, nadejdzie lato, a z niem i dobra myśl przyjdzie. Chodźmy, chodźmy — dodał, ujmując rękę żony — dobranoc, poraz nie wiem już który, spać dziatwo.

Gdy nieznajoma została samą, ręce zaplotła nad głową i łzy spłynęły po jej bladej twarzy.

— Dobrodziejstwo i łaska ludzka nie minęły mnie jednak — szepnęła — myślałam inaczej, wola Twoja o Pani!

Długo klęczała przy pacierzu, łzy zmywały gorycz która z tego biednego serca zupełnie ustąpić nie chciała, a choć się zdawało chwilami, że tam już zupełny panuje spokój, przy lada jednak okoliczności budziło się w duszy szamotanie bolesne, które koła dopiero modlitwa i ponawiane podanie się woli Bożej.

I teraz gdy powstała z kolan, twarz jej miała zupełnie inny wyraz, jaśniała na niej pogoda i cicha rezygnacja, z której widny był jednak tajony smutek nie ujęty w słowa.

Dalszy ciąg opowiadania nieznajomej.

Na drugi dzień, pani Brzeska wcześniej niż zwykle kazała podać herbatę, aby było więcej czasu na opowiadanie smutnej historii nieznanej im kobiety. Pragnęli oni aby to skończyło się jak najprędzej ze względu na nieznajomą, której wspomnienia takie, musiały być bardzo bolesne.

Zasiedli więc wszyscy jak dnia wczorajszego, a po krótkiej chwili milczenia, nieznajoma tak mówić zaczęła:

„Życie moje płynęło spokojnie, oddana nauce do której co raz więcej nabierałam zamiłowania, nie miałam innych dziś

wość byłoby upokorzeniem. Wtedy zamknęło się znów serce moje, nie umiałam widocznie pojąć tego, że nie słowem prosić należy o przyjaźń i życzliwość ludzką, ale przychodzi ona sama, gdy na nią czynem zasłużyć umiemy.

Zrozumiałam to później, patrząc na życie innych pensyonarek.

Jakaż tam była wspólna miłość, jakie zaufanie. z którym się jedna drugiej zwierzała w każdej potrzebie, jak sobie chętnie spieszyły z pomocą. Ja nigdy żadnej o najmniejszą nie prosiłam przysługę, ale też wzajemnie, nigdy żadna odemnie nie zażądała.



Nieudane łowy.

celów po za nią, od życia koleżeńskiego odsunęłam się zupełnie, byłam więc spokojną i samotną.

Jak strasznie jednak chwilami uczuwałam tę samotność, wypowiedzieć tego niepodobna.

W duszy mej wówczas powstawała szalona jakaś burza, żal do wszystkich napelniał mi serce, czułam się pokrzywdzoną, nie pojmając, że tę samotność, to opuszczenie, zgotowałam sobie sama.

Nie koleżanki to odsunęły mnie od siebie lecz ja odsunęłam się od nich, zrazilałam je zaraz na wstępie swą dumą i zimnem obejściem, a gdy zaczynałam rozumieć, że przyjaźń i miłość ludzka to jednak rzecz cenna, było już zapóźno, nie było już przy mnie ani jednego życzliwego serca.

Spostrzegłszy to, podniosłam głowę wyżej jeszcze, tu znów fałszywa dumą szepnęła, że przecie prosić ich o życzli-

Z początku było mi to przykrem, bo jednak byłoby mi to pochlebiało, gdybym była czyniła te drobne, pensyonarskie przysługi, lub wyprawiała koleżankom bale, które się zasadzały na kupieniu ciast i cukierków.

Miałam tak wiele pieniędzy, że nie wiedziałam co z nimi robić, nie rozumiałam tego, iż są ludzie, którym braknąć może chleba. Widząc raz jak kilka panierek zebrało się w kółko aby podzielić się cukierkami i innymi łakociami, udałam się do zarządzającej naszą klasą z prośbą, aby mi kazała kupić tort i kilka funtów najpiękniejszych cukrów.

Ponieważ ojciec prosił, aby takim żądaniom z mej strony nie odmawiano i nawet na ten cel zostawił pewną ilość pieniędzy, ta sądząc, że się chcę zbliżyć z koleżankami i wyprawić im, tak zwany bal, zgodziła się, i w go-

dzinie rekreacyjnej, wniesiono na tacy słiczny tort i pudełko z cukrami.

Panienki ze zdziwieniem spojrzwały na służącą, biegnącą ku niej z zapytaniem, a gdy ta powiedziała, że to jest dla mnie, wszystkie odsunęły się od tacy, a spojrzawszy po sobie znacząco, wyszły to parami, to po kilka do ogrodu, a ja z tym tortem i cukrami pozostałam sama.

Lzy nabiegły mi do oczu, bo choć na razie nie miałam co prawda zamiaru aby je częstować, to jednak ich wyjście raptowne, było dla mnie upokarzającym.

Oburzona, nie zdając sobie sprawy z tego co robię, pokruszyłam tort w kawałki, wysypałam na to całą pacę cukrów i wzięwszy książkę, wyszłam także do ogrodu.

(d. c. n.)

ZYCIE W OCEANIE

PRZEZ

Dz. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Skończywszy opowiadanie o *okrzemkach* i innych małych wodorostach, pomówimy teraz o roślinach znacznie większych rozmiarów.

Między wodorostami morskimi, najpospolitszymi są tak zwane *morszczyzny*, niema zapewne wybrzeża gdzieby ich nie znano. Wszystkie skały podwodne gęsto porośnięte są temi glonami, brunatnej lub zlekką oliwkowej barwy, tak, iż z daleka już dojrzeć można tę roślinność. Morszczyzny rosną jedynie na takich skałach, które wylaniają się z wody podczas odpływu, a w godzinach przypływu stoją pod wodą. Takie kolejne przebywanie w wodzie i w powietrzu jest dla tych roślin niezbędnym warunkiem do życia.

Nie radzimy jednak osobom nieobeznanim z morzem wdrapywać się na skały przybrzeżne, w celu zebrania tych ciekawych roślin, skały te bowiem są tak śliskie od morszczyzn, iż z trudnością na nich utrzymać się można, nawet wprawni marynarze miewają częste wypadki złamania lub zwichnięcia nogi przy zbieraniu owych wodorostów. Możemy atoli znaleźć morszczyzny na wybrzeżu, gdyż niekiedy silnie wzburzone fale gwałtownie odrywają je od skał morskich i na brzeg wyrzucają.

Wźmy tedy do ręki gałązkę morszczyzny *Fucus vesiculosus* i przyjrzyjmy się jej nieco bliżej (Fig. 4). Jest to roślina brunatnej barwy, w dotyku twarda jakby chrząstkowata, nie mająca wyraźnej łodygi ani liści. Ciało takiej rośliny nierozczłonkowanej na łodygę, liście i korzenie botanicy nazywali *plechą*. Plecha morszczyzny przedstawionego na rys. 4, składa się z wązkieb pasków na końcu rozszczepionych w dółkowato. Na niektórych wierzchołkach widzimy mnóstwo punkcików, w których powstają siemiona, do rozmnażania rośliny służące. Prócz tego wzdłuż plechy widać małe pęcherzyki napelnione powietrzem; dzieci urządzą sobie niekiedy zabawę, rozgniatując w palcach te pęcherzyki, wówczas pękają one z hałasem a uwieszone w nich powietrze ulatuje. Pęcherzyki służą do utrzymania morszczyzny w pionowym kierunku, gdy morze załewa skały.

Pęcherzyki takie zwane pływakami, są nierównie obfitsze i większe w innym rodzaju wodorostów brunatnych, noszącym nazwę *sargassum*. Jest to ze wszelkich miar niezmiernie ciekawa roślina i dlatego obszerniej o niej pomówimy. *Sargassum* nie przyrasta do dna morza lecz dzięki pęcherzykom napelnionym powietrzem, swobodnie pływa w wodzie.

Z pozoru gałązka *sargassum* wydaje się jak gdyby była okryta drobnymi jagodami i dlatego marynarze nazywali tę ro-

ślinę *zwrotnikowemi winogronami* (Fig. 5). Ale po bliższym rozpatrzeniu się widzimy, że to cośmy wzięli za owoce, są to pęcherzyki utrzymujące roślinę na powierzchni morza.

W niektórych oceanach nagromadziło się takie mnóstwo *sargassum*, że powstały z nich istne ławice na dziesiątki tysięcy mil rozległe. Ławice takie spotykają się w oceanach Atlantyckim, Indyjskim i Wielkim. Największa ławica zwana morzem Sargasowem, znajduje się w środku Atlantyki północnego, między wyspami Kanaryjskimi, Bermudzkimi i Azorskimi, zajmując przestrzeń około 60,000 mil kwadratowych. Pęki tych wodorostów pływają zwykle szeregami układającymi się równoległe do kierunku wiatrów panujących w danej miejscowości. Tym sposobem powierzchnia oceanu przekształca się w rodzaj pływającej łąki żółto-zielonej lub brunatnej barwy. Setki ryb igrają w cieniu liści *sargassum*, mniary drobnych zwierząt kryją się lub biegają po splecionych łodygach tych wędrownych roślin i przepływają wraz z niemi znaczne przestrzenie. Niektóre zwierzęta żyjące na tych łąkach, mają zupełnie taką samą barwę, a nawet kształty podobne do rośliny, od której odróżnić je trudno, np. ryba *Antennarius marmoratus* zupełnie podobna jest z kształtów do gałązki *sargassum* (Fig. 6). Mamy tu przed sobą ciekawy przykład naśladownictwa, tak rozpowszechnionego między zwierzętami, o czem pomówimy obszerniej w innym miejscu. Kolumb przepływał morze Sargasowe a towarzysze jego doznawali podobno, niemałej obawy na widok tych długich sznurów ciągnących się roślin, które opóźniały bieg statku i nadawały morzu wygląd niezmiernego bagna. Kolumb pierwszy opisał najdokładniej przebyte przez siebie morze wodorostowe. Następnie Humboldt uzupełnił i rozpowszechnił opis Kolumba o morzu Sargasowem. Późniejsze jednak badania wykryły, że opis tych dwóch podróżników wielkości morza Sargasowego był nieco przesadzony.

(d. c. n.)

NIEUDANE ŁOWY.

Prawda i fantastyczne opowiadania dotyczące sposobu życia i charakteru lisa, tak z biegiem czasu pomniejszane zostały, że nawet myśliwy, który bezwątpienia ma najwięcej sposobności obserwowania tego zwierzęcia, nie łatwo rzeczywiście zdania od zmyślonych wyróżnić potrafi.

Zazwyczaj jako główne przymioty lisa wyliczane bywają jego chytrność i przebiegłość. Nie ulega wątpliwości, że lis działa niejednokrotnie z pewnym planem i zastanowieniem, by uratować życie, umie w razie nagłego niebezpieczeństwa udać nieżywego, lub zatracić zręcznymi wybiegami wszelki trop za sobą. Wszakże mimo to, w wielu innych okolicznościach, niektóre zwierzęta lub ptaki przewyższają go zmyślnością. Zdarza się więc nieraz, że przysłowiowo chytry lis, nie spostrzeże jednak stojącego nieruchomo pod nim drzewa myśliwego, i podchodzi tuż ku niemu, podczas gdy dzik lub leśny gołąb spieszną ucieczką dają dowody, iż poznały niebezpieczeństwo. Bywały też wypadki, że lisy z ciekawością obchodziły dokoła śpiących, lub tylko z zerkniętymi oczami siedzących ludzi, aż ich powonienie ostrzegło, że w pobliżu znajduje się broń palna. I na naszej rycinie pod tytułem: „Nieudane łowy” „mistrz lisek” nie dosyć zdaje się obliczył odległość, jaka go dzieliła od upatrzonej zdobyczy, a dzika kaczka zdołała mu się wysunąć z pod ostrych pazurów, kosztem tylko kilku piórek ze swych skrzydeł, on zaś jak się to trafia i najręczniejszym myśliwym, spogląda teraz z żalem za smacznym kąskiem, który go ominął.

Lew świętego Marka

(z ANGIELSKIEGO E. A. Henty)

przekład K. P.

(Ciąg dalszy).

— Chciałbym widzieć minę komendanta floty, kiedy spostrzegł, że zabrakło czterech okrętów. Zapewne nie przypuszczają, że potonęły, bo choć wiatr dął silnie nie było buraganu, ale dziwię się, że nie posłał za nami swoich dwóch genueńskich galer, które zachowały kompletną załogę.

— Może i posłał, ale przy wietrze przeciwnym, musiałby na to poświęcić całe dwa dni.

Przez czas podróży do Wenecyi ani dostrzeżono nieprzyjacielskiego okrętu. Franciszek zachował dowództwo nad czterema galerami, gdyż kapitanów i wyższych oficerów przeniesiono na statki genueńskie i on był najstarszy rangą pomiędzy towarzyszami.

Największą czujność roztoczono nieopodal Wenecyi, bo już Loria obległ miasto. Lecz flota genueńska dotychczas jeszcze krążyła przy wybrzeżu dalmackiem, zdobywając jeden port po drugim. Cztery galery przepłynęły kanał około Lido z rozpostartymi flagami.

Z początku miano je za część floty Zena, ale kiedy zarzuciły kotwicę i rozeszła się wieść, że to zdobyte okręty Pisani, radość mieszkańców była niewypowiedziana. Okręty otoczyły niebawem łodzie, wiozące krewnych i przyjaciół tych wojowników, którzy walczyli pod Pola, pokłady roily się od rozradowanej ludności, bo niejeden ścisnął bliskich, których miał za zabitych, albo jęczących w niewoli genueńskiej.

Jeden z pierwszych przybył Polani, który dowiedziawszy się, że wrócił „Pluton” pośpieszył do portu.

— Co to za cud, Franciszku? — pytał ścisnąjąc serdecznie młodego człowieka.

— Żaden cud, ale Genueńczycy myśleli, że pięćdziesięciu ich ludzi utrzyma w niewoli stu pięćdziesięciu Wenecyan a myśmy ich przekonali, że się mylą.

— Nie my! — zawołał Matteo, witając się z krewniakiem — myśmy nie myśleli o powrocie. Wszystko zawdzięczamy Franciszkowi.

— Mógłbym się o ciebie nie niepokoić! — zawołał śmiejąc się Polani — bo znając ciebie powinienem był wiedzieć, że się nie dasz zamknąć do lochów genueńskich. Ale jak się to stało?

— Jeżeli mnie pan zawiezie do miasta to wszystko w drodze opowiem. Tak się złożyło, że jestem najstarszy oficerów i muszę zdać raport Wielkiej Radzie.

— I mnie proszę wziąć ze sobą — rzekł Matteo — bo ja znam dobrze Franciszka i wiem, że nic nie powie o sobie i zasługa spadnie na nas wszystkich, którzyśmy nic nie uczynili.

— Dobrze Matteo, ty mi opowiesz, a nie Franciszek, a ja się już postaram, żeby Rada dowiedziała się całej prawdy.

— Czy admirał dostał się szczęśliwie do portu? — pytał Franciszek — widziałem jak jego galera w towarzystwie pięciu innych przebiła się przez flotę genueńską, ale nie wiem czy on sam nie był ranny?

— Wrócił w dobrym zdrowiu, ale Wenecyanie nie bacząc na jego zasługi skazali go na sześć miesięcy więzienia za przegranie bitwy.

— Co za ohydny postępek, zawołał Franciszek z oburzeniem. Przecież mówił mi kapitan, że Pisani nie chcieli przyjąć bitwy, ale go „provoditori” zmusili. To wprost niezrozumiałe. Idę teraz do Rady i złożę raport, a potem wracam

do pana i przysięgam, że nie dobędę miecza, chociażby Rzeczpospolita miała zginąć póty, póki nie uwolnią Pisanięgo.

— Wszystkiemu winny intrygi. Pisanięgo lud ubóstwiał, ale możni nie lubili. Zazdrościli mu sławy, a on podsycił ich niechęć przez lekceważenie, jakie im okazywał. Była chwila kiedyśmy się obawiali o jego życie. Dobrze, że się skończyło na więzieniu. Pewnie niedługo go wypuszczą. Za parę dni pojawi się tutaj flota genueńska, bo słyszałem, że Padwa wysłała już swoje wojska, aby działać wspólnie z Genuą, a w chwili niebezpieczeństwa lud zażąda uwolnienia Pisanięgo. Jużemy mieli demonstracye, okrzyki na cześć admirała. W każdym razie radzę ci, Franciszku, nie wyrażać swego niezadowolenia przed Radą; nie pomożesz Pisanięmu, a ściągniesz niechęć na siebie. Już i tak masz wielu nieprzyjaciół za sprawę z Ruggierem.

— Pójdę za pańską radą, ale rzucę służbę rzeczpospolitej i wrócę dopiero wtedy, gdy Pisanięgo uwolnią.

Kiedy się rozeszła wiadomość po mieście, że wróciły statki schwytano przez Genueńczyków radcy zebrałi się w sali obrad i gdy przybył Franciszek, wpuszczono go natychmiast, Polani mu towarzyszył i tak wytłomaczył swoją obecność:

— Ośmielam się przyjść z moim młodym przyjacielem ażeby uzupełnić jego opowiadanie faktami, o których się dowiedziałem od jego towarzyszy, a które on, nie chcąc wynosić swoich zasług, pominie milczeniem.

— Myśmy już tego młodzieńca dawniej widzieli. Nieprawdaż signor Polani?

— Tak, wasze dostojności, odznaczył się on w bitwie pod Antium i przysłany tutaj przez admirała z listami otrzymał wasze podziękowanie i honorowe obywatelstwo Wenecyi.

— Pamiętam — rzekł jeden z radców — i moi koledzy także o tem nie zapomnieli. Czy znowu przynosi listy od komendanta czterech galer, które jakby cudem wróciły do ojczyzny i dlaczego sam komendant nie przyszedł?

— Komendant przyszedł. Jest nim messer Hammond, który dowodzi zdobytymi galerami i sam je szczęśliwie odprowadził do portu. Ale zasługi jego nie tu się kończą, jemu zawdzięczamy odbicie okrętów Genueńczykom.

Radcy spojrzeli pó sobie z niedowierzaniem, lecz Polani się nie zmieszał i mówił spokojnie:

— To się wydaje niemożliwe, ale jest szczerą prawdą. Niech sam Franciszek Hammond opowie głównejsze fakta, a ja uzupełnię je szczegóлами.

— Może się waszym dostojnościom wyda dziwnem — rzekł Franciszek, kończąc swe opowiadanie — żeśmy nie odebrali wszystkich okrętów, ale wiatr był tak mocny i morze tak wzburzone, iż niepodobna było narażać okrętów na pewne rozbicie. Burtę wszystkich galer są zdruzgotane i „Pluton” stracił jeszcze w dodatku swój wielki maszt, a ponieważ burza wciąż się wzmagala, musieliśmy zaniechać dalszego zwycięstwa i myśleć o własnem bezpieczeństwie.

— Oddałeś rzeczpospolitej ważną usługę messer Hammond ocalając cztery galery i całkowite ich załogi, zwłaszcza teraz, kiedy jej zagraża nieprzyjaciel na lądzie i na morzu. A teraz signor Polani opowiedz nam co wiesz o swoim młodym przyjacielem.

Polani powtórzył to co słyszał od Mattea, jak Franciszek pierwszy pomyślał o wydobyciu się z rąk genueńskich, jakich sposobów użył aby się połączyć z towarzyszami, z jaką odwagą pokonywał wszelkie przeszkody.

Mój krewniak, Matteo Giustiniani mówił mi, że jeżeli prześwietna Rada nie zechce zaufać jego słowom, przez wzgląd, że to powiada przyjaciel Hammonda, to każdy z ochotników a przedewszystkiem signor Parnechi poświadczy, że nic nie przesadził. Świadcstwo signora Parnechi tem jest ważniejsze, że on jak i wszyscy oficerowie niechętnem okiem spoglądał na Franciszka, nie mogąc zmieść ażeby tak młody człowiek zajmował wysoką szarżę. Teraz jednak zmienił zdanie i niema słów dla wypowiedzenia szacunku, jakie ma dla Franciszka.

— Przypominam sobie, że na wiosnę pisał admirał, iż na wszystkich galeriach załogi zostały zdziatkowane przez chłód i choroby; jedna tylko załoga Plutona cieszyła się dobrem zdrowiem, a to dzięki troskliwości Franciszka Hammonda.

— Wdzięczni ci jesteście signor Polani za światło, jakie rzuciłeś w tej sprawie. O nagrodzie dla messer Hammonda postanowimy za parę dni, a tymczasem zostawiamy mu dowództwo nad okrętami, które odzyskał.

Franciszek dziękował za zaszczyt jaki go spotkał, ale prosił aby mu pozwolono wyrzec się dowództwa

— Mam miejsce u signora Polaniego i chociaż na krótki czas rzuciłem handel i służyłem pod Pisanim, teraz dla rozmaitych powodów chciałbym znów wrócić do kupiectwa. Jako swego zastępcę, polecam gorąco signora Parnechi, który oprócz mnie jest jedynym oficerem na Plutonie. On mi pomagał w zorganizowaniu ucieczki i sam zdobył jeden ze statków. Ochotnicy także okazali wielką gorliwość. Matteo Giustiniani zastępował porucznika i jemu również należy się podziękowanie Rzeczypospolitej.

Schodząc ze statku messer Polani posłał do domu umyślnego z wiadomością o powrocie Franciszka i teraz kiedy przybyli do pałacu kupca, zostali Julię, która ich z niecierpliwością oczekiwała, a w parę minut później nadpłynął Matteo z bratem Rufinem i Maryą.

— Matteo nam opowiedział, zawołała Marya, że wszystko zawdzięczają pańskiej roztropności.

— Nietylko roztropności — poprawił Matteo — ale wytrwałości i energii. Żaden z nas nie wątpił, że go czeka więzienia w Genui, a kiedy Franciszek mówił o odebraniu Plutona jako o najprostszej rzeczy pod słońcem, musieliśmy powstrzymać się od śmiechu. On się nie zrażał naszym niedowierzaniem i najspokojniej wziął się do roboty. Wtedy i myśmy się przyłączyli do niego.

— A wiesz Franciszku — rzekł signor Polani — że udało mi się wykupić twego służącego, Giuseppa z niewoli maurytańskiej. Wrócił przed dwoma dniami i teraz pewnie gdzieś na ciebie czeka.

— Zaraz pójde się z nim przywitać — zawołał zrywając się Franciszek.

We dwa dni później ogłoszono dekret opiewający, że Franciszek Hammond za niezwykle zasługi oddane Rzeczypospolitej do śmierci pobierać będzie trzysta dukatów rocznie.

— Nie będziesz ich potrzebował, Franciszku — rzekł signor Polani, gdyż zamierzam po wojnie przyjąć cię za współnika. Przyrzekłem twemu ojcu, że będę cię uważał jak rodzonygo syna i dotrzymam obietnicy. Nie dziękuj mi mój chłopcze choćbym cię obsypał dostojenstwami i majątkiem, zawsze będę twoim dłużnikiem. A pieniądze możesz oddać jakiejś ubogiej rodzinie, która ci za to całe życie będzie wdzięczną i tem powiększysz swoją popularność.

— Uczynię to z ochotą — rzekł Franciszek — chociaż popularność nie na wiele się przyda w Wenecyi; mamy tego dowód na ulubieńcu ludu, którego niedawno nazywano ojcem ojczyzny, a który teraz niesłusznie dostał się do więzienia.

— W każdym razie uratowała mu życie, bo gdyby nie obawa przed ludem, to możesz być pewien, że w radzie

uchwalonoby jego śmierć i ręczę, że niedługo uwolnią go na żądanie tegoż ludu.

Natychmiast po bitwie pod Pola, Wenecyanie rozpoczęli układy z Węgrami, aby odciągnąć ich od ligi z Genują i Padwą. Ale wymagania króla Ludwika były niemożliwe do przyjęcia, kazał bowiem sobie odstąpić Tryest, uznać jego zwierzchnictwo nad Rzeczpospolitą, wypłacić rocznej daniny sto tysięcy dukatów i jednorazowo pół miliona. Wenecyanie odmówili i gorączkowo przygotowywali się do walki na śmierć i życie.

Na szczęście po odniesionym zwycięstwie, Genuńczycy przez trzy miesiące zdobywali nadbrzeżne miasta dalmackie, które podlegały Wenecyi, do samej zaś stolicy nie zbliżali się. Pod koniec lipca przyplęnęło siedemnaście galer genueńskich od strony Palestriny, spaliły kupiecki okręt, który tam stał na kotwicy, cały dzień zdejmowano plany i sondowano mieliżny poza kanałem Brondolo. Wieczorem znów odplęnęły do Dalmacyi.

W niespełna tydzień, pojawiło się sześć galer i admirał Giustiniani, który po złożeniu Pisaniego dowodził wszystkimi siłami, wystąpił z równą liczbą okrętów. Ledwo wypłynęli za Lido, ujrzeli w morzu ciemny przedmiot; okazało się za zbliżeniem, że to głowa pływającego człowieka. Wydobyto go z wody i dowiedziano się, że jest Wenecyaninem, i nazywa się Savadia, że był w niewoli u Genuńczyków, a teraz unknął aby przestrzedz admirała, że te sześć okrętów to tylko zasadzka, którą Pietro Doria wysłał, a sam z flotą liczącą czterdzieści siedm galer nadejdzie lada chwila.

Giustiniani nie czekając wrócił do portu i ledwie się skrył za tamą, ukazała się cała flota genueńska. Podpłynęli do kanału obok Lido, ale Wenecyanie mieli jeszcze czas przygotować się do obrony. Genuńczycy znaleźli kanały Lido i Malanocco całkowicie zatarasowane za pomocą zatopionych okrętów, palisad i łańcuchów. Odplęnęli więc szukając innego wejścia.

Gdyby Wenecyanie zachowali te same ostrożności na innych kanałach, mogliby się zupełnie nie lękać Dorii. Wenecya położona jest na niezliczonej ilości małych wyspek, które się wznoszą ponad płytką zatoką, mającą dwadzieścia pięć mil długości, a pięć szerokości. Oddziela ją od morza długi wał piasku, uformowany przez rzeki Piare i Adyge.

Przez tę ławicę morze utworzyło kilka kanałów. Treporti, położony na północy jest tak płytki, że tylko najmniejsze statki mogą przez niego przepłynąć. Później następuje kanał Lido, oddzielając wyspę San Nicolo od Malanocco, który dzieli wyspę tejże nazwy od Palestriny. Na południe-wschód od Palestriny jest wyspka Brondola, poza którą leży Chioggia odległa o dwadzieścia mil od Wenecyi. Południowy cypel Brondolo oddzielał od kontynentu mały kanał Lombardzki.

Na nieszczęście nie zdążono go zamknąć. Przygotowania były oddawna uczynione, ale zatarasowanie odłożono do ostatniej chwili, ażeby okręty kupieckie mogły swobodnie wpływać i wypływać. Nagłe pojawienie się Dorii pomieszało szyki i Genuńczycy bez trudu zdobyli pozycję.

(d. c. n.).

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Józef Sikorski (z portretem). — Nieznajoma z poddasza, powieść przez Bronisławę Porawską. — Życie w oceanie przez Dr. M. Stefanowską (z drzew.) — Nieudane łowy (z drzew.) — Lew świętego Marka (przekład K. P. z angielskiego G. A. Henty). — Dodatek: Sprawozdanie z prób kaligrafii. — Dzieci na wsi (z drzew.) — U stolarza. — Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłówek, rozwiązanie. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Orla skała, powieść miss K. Yonge przekład T. O.

WIECZORY RODZINNE

Sprawozdanie z prób kaligrafii.

Mamy przed sobą próby starannego pisma naszych młodszych czytelników, z których musimy wybrać najlepsze. Niełatwe to zadanie, gdyż radziłyśmy pochwalić wszystkich, a w sądach naszych musimy się przede wszystkim kierować sprawiedliwością i odznaczyć głównie, nietylko tych którzy się starali obecnie pisać jak najlepiej, ale tych, których kształtne pismo świadczy, że oddawna pracowali nad jego wyrobieniem.

Do takich zasługujących na nagrody pierwszego rzędu należą:

10 letnia Biała Ptaszyna, 8 letni: Córa Mazurów, Mała Foka i Stokrotka z Jabłonnicy. — 8 letni: Czarny węgielek, Jaskółka z Mszanki i Muszka ukraińska. — 7 letni: Lilijka, Pliszka z nad Teterowa i Słowiczek z nad Abel. — 6 let-

nia, Róża. — 5 letnia, Jadzia K., której pismo odznacza się szczególnie nad wiek jej kształtnymi literami, znać stąd, że musi być nader pilną i pracowitą dziewczynką, a przymioty te rokuja, że stanie się i nadal pociechą rodziców.

Nagrody II-go rzędu otrzymali: 10 letnia Jaskółka z nad Teterowa. — 9 letni: Czytelniczka Wieczorów, Kózka p. Zofii. — 8 letni: Bolesław chrobry, Stefcia S. i starszy braciszek. — 7 letni Promyczek z Białej Rusi.

Bez wymienienia lat swoich i zbyt małą próbę, (gdyż z dwóch wierszy trudno pismo osądzić) nadesłali próby kaligrafii: Zula J., Teodora i Ludwik B. i kilku jeszcze innych korespondentów, których imion tu nie wyliczamy, równie jak i tych, o których piśmie nic innego powiedzieć nie można nad to, że w przyszłości starać się będą pisać poprawniej, a tem samem zasłużą na pochwałę, której udzielenie byłoby dla nas prawdziwą przyjemnością. O ile to jest możebnem prosimy, o zgłaszanie się po otrzymane nagrody do Redakcyi.

DZIECI NA WSI.

— Ciociu Franiu! ciociu Franiu, już jesteśmy — wola spora gromadka dzieci, wbiegając do stołowego pokoju.

— Dobrze, dobrze, zaraz będzie podwieczorek, tylko nie krzyczcie tak głośno, bo mi się uprzykrzyacie w końcu.

Lecz dzieci wiedzą dobrze, że ciocia Franja żartuje tylko, ona tak je kocha! Nie mając własnych dzieci, kocha je wszystkie serdecznie, to też siostrzeńcy i siostrzenice oczekują z upragnieniem wakacyi, by dostać się do wujostwa. Nigdzie nie jest tak ładnie, tak miło, tak swobodnie i wesoło jak w Zaciszu.

Oto i teraz przy podwieczorku układają projekt na dzień jutrzejszy.

Muszą się zabrać od rana do łączki za ogrodem; przed paru dniami skoszono ją i choć żal wtedy było dzieciom ślicznych kwiatków i trawek, pocieszyły się jednak myślą, że im zgrabić siano pozwolą.

— Chodzi tylko o to pozwolenie, a któż inny otrzymać je może od wuja, jak ciocia Franja.

— Proście sami — odpowiada ciocia na ich nalegania, lecz kończy się na obietnicy wyręczenia dziatwy, która uszczęśliwiona wesoło i serdecznie dziękuje ukochanej cioci i wynosi się szybko do ogrodu na krokietą. Nazajutrz, pozwolenie otrzymano. Co za radość! na domiar przyjemności cio-



cia obiecuje przysłać obiad na łąkę, żeby nie przerywać zbyt długo pracy.

To też po prędko zjedzonym śniadaniu, cała gromadka śpiewając i dokazując, udaje się na łąkę, gdzie wuj objaśnia, jak mają się zabrać do pracy.

— A więc dziewczynki i chłopcy starsi, dalej za grabie — wołał — gromadźcie pokosy w kopki, wy malcy pomagajcie im, znosząc małe wiązki, a ty — dodał, zwracając się do czteroletniej Rózi — pilnuj robotników, żeby ukończyli wszystko do wieczora.

Nie trudno było spełnić rozkaz wuja, łączka była niewielka, a dzieciom sił i ochoty nie brakło, tembardziej, że po obiedzie przybyła im dzielna pomoc w osobach cici Frani, mamy i tatusia.

To też gdy nad wieczorem wuj zajrzał na łąkę, dzieci z dumą ukazały mu gotowe kopki siana, dopominając się o nagrodę.

— Dobrze, ale w domu — rzekł wuj, uśmiechając się i wszyscy udali się na kolację.

Wielka była radość dzieci, gdy ukazały się w końcu ulubione ich lody.

— Niech żyje ciocia Franía, niech żyje wuj nasz, niema na świecie lepszych wujostwa! — wołały.

— A cóż powiecie na mój projekt wycieczki jutro do lasu — przerwał te okrzyki wuj Jakób — może jesteście tak zmęczeni grabieniem siana, że nie będzie to dla was nagrodą?

Lecz zarumienione i uśmiechnięte buzie dziatwy przeczyły temu przypuszczeniu; stanęło więc na tem, że nazajutrz o siódmej rano wyruszą wszyscy do lasu, odległego o dobrą milę od Zacisza.

(d. n.)

U STOLARZA.

(Dokończenie).

Po chwili ogień na kominie oświecił izbę, a raczej wilgotną norę; dwunastoletnia dziewczynka związała się po izbie, jak dorosła gospodyni. Obierała kartofle, krajała chleb i ser, kładąc to wszystko do jednej nadtłuczonej miski.

— Więc to panu oddałem pugilares — zauważył wreszcie rzemieślnik, ocierając łzy rękawem.

— Czy wiesz — rzekł ojciec, zwracając się do Tadzia — że temu człowiekowi zawdzięczamy byt nasz, zawdzięczamy wszystko co posiadamy.

— Co pan mówi? — przerwał rzemieślnik. — Cóż tu dziwnego? Widziałem, że panu wypadły z kieszeni te pieniądze, więc oddałem, nagrody nie chciałem, bo to było przecie moim obowiązkiem. A teraz jeżeli pan zechce mi dopomóc w urządzeniu nowego warsztatu, to będzie pańska, dobra wola, a Boża łaska. Roboty już od pół roku było mało, źle płatna, no! ale jakoś by się żyło, gdyby nie ten pożar i w tem wola Boska....

— Trzeba iść — rzekł ojciec, wstając — o siódmej oczekuję kogoś. Jutro tu zajdę, to poradzimy się co do

przyszłości, a tymczasem wstąpię po drodze do doktora, żeby zbadał waszą żonę.

— E! nie trzeba — odpowiedziała chora — jak będzie ogień i ciepła strawa, to zdrowie prędko powróci.

— Tatusiu — wtrącił Tadzio — zostańmy tu jeszcze.

— Nie można, moje dziecko — rzekł łagodnie ojciec. obowiązek przedewszystkiem, a jak mówiłem, ma ktoś być dziś u mnie.

— A jutro weźmie mnie tatko?

— To już mnie się panicz nie boi? — zapytał z uśmiechem stolarz.

— Ani trochę, ani odrobinki!

I mówiąc to Tadzio rzucił się na szyję biednego człowieka i całował jego blade policzki.

— Nie gniewajcie się na mnie — prosił ze łzami — ja was już bardzo kocham.

— Co panicz robi? — wołał zawstydzony rzemieślnik.

— Cóż w tem złego — zapytał z uśmiechem ojciec — czemuż Tadzio nie ma was ucałować? — i podał mu rękę na pożegnanie.

Gdy wyszli na ulicę, przeprowadzani błogosławieństwem całej rodziny, Tadzio przycisnął do ust rękę ojca i zawołał wzruszony:

— Tatusiu kochany, jacy to dobrzy ludzie. Ja teraz zawsze będę się starał im dopomagać.

— Takich biednych a uczciwych jest bardzo wielu, i żeby im ulżyć pomocą, trzeba odmówić sobie nie jednej przyjemności.

— O dobrze, dobrze! już nie chcę tej książki, tylko pieniądze można dać biednym.

— Dobrze, moje dziecko — odparł ojciec — dotychczas sam ich szukałem, ale kiedy już umiałeś pokochać biedaków, zawsze brać cię będę z sobą.

Zapewne chcecie, mili czytelnicy, dowiedzieć się o dalszych losach rodziny uczciwego stolarza.

Oto ojciec Tadzia dał mu kilkadziesiąt rubli na pierwsze potrzeby i na urządzenie warsztatu, a że będąc kupcem, miał liczne stosunki, wystarał mu się o stałą i dobrze płatną robotę, tak, że poczciwy człowiek po roku, nietylko oddał pożyczone pieniądze (bo przyjąć ich żadną miarą nie chciał), ale i odłożył trochę grosza na „czarną godzinę”. Ma teraz ładne choć ubogie mieszkanko, a żona jego i dzieci chodzą ciepło i czysto ubrane. Tadzio częstym bywa u nich gościem. Pomaga stolarzowi, gdyż stolarka bardzo mu się podoba, uczy w wolnych chwilach czytać i pisać starszą jego córeczkę.

Pamięta również, że są jeszcze ludzie ubodzy i nie-szczęśliwi, i bardzo często chodzi do nich z ojcem. Odwiedziny te już go teraz nie przestraszają, i rozdaje wsparcia, o ile mu na to pozwalają skromne fundusze. Ojciec bardzo czynnie mu w tem dopomaga. Ile razy przychodzi mu chęć kupienia czegoś, bez czego obejść się może, w tejże chwili myśli, ilu głodnych można za te pieniądze nakarmić i... nie kupuje rzeczy niepotrzebnej.

Jak myślicie? Prawda, że z Tadzia wyrośnie człowiek dobry, że wszyscy go będą szanowali i kochali? Jeżeli dowiem się o nim jeszcze coś nowego, podzielę się z wami tą wiadomością.

Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przeżyła M. B.

(Dalszy ciąg).

— Melciu, jak sądzisz, czy dziś dojdziemy już narazie do ciotki Genowefy? — przeciągając się zapytał Iwonek.

Melcia sama nic nie wiedziała, na widok słońca, otucha jej do serca wróciła.

Mgła się rozwiała, przed nimi roztaczała się duża płaszczyzna, która wydała im się prawie tak wielką jak powierzchnia morza! Ach, gdyby mieli łódź i popłynąć nią mogli po ziemi!... Nogi tak bolały, że usiedli na kupie kamieni przy drodze, by wypocząć trochę, nadjechał niebawem wóz zaprzężony w rosłego konia, na wozie siedział człowiek, powoził i trzymał duży kij w rękę, wyraz twarzy miał bardzo pocziwy. Melcia wstała i poszła ku niemu, kłaniając się grzecznie.

— Czegoż chcecie odemnie, wyście nie tutejsi, a ja nie mam nic przy sobie moja małańka.

— Ja nie proszę pana o jalmużnę, jesteśmy tylko bardzo zmęczeni, mój braciszek nie może już chodzić, a idziemy do ciotki naszej, Genowefy.

— A gdzież mieszka wasza ciotka?

Melcia miała się na ostrożności, by nie wygadać się o Paryżu, wymieniła więc na los szczęścia miejscowość, która jej przyszła na myśl, bo słyszała o niej czasami:

— Mieszka w Landes *). W okolicy znajdował się zamek tegoż samego nazwiska.

— A, u pana Dumagny, to macie jeszcze sporo drogi przed sobą, będzie ze sześć mil. Siadajcie to was podwiozę kawałek. Ale dziwi mnie bardzo, jak można puszczać same dzieci w taką daleką drogę.

— Jesteśmy sierotami, nie mamy ani ojca ani matki.

— Biedne dziecińcy.

Melcia i Iwonek tak się czuli zadowoleni, że zapomnieli o zmęczeniu... Jaka rozkosz podróżować w ten sposób! Każde stuknięcie wozu pobudzało ich do śmiechu, nie myśleli w tej chwili o uciążliwej drodze, która ich jeszcze czeka. Jeść im się chciało. Wóz zatrzymał się wreszcie przed bramą perządneho felwarku. Folwark ten przywiódł im na myśl pierwszy spoczynek w drodze i dobrą gospodynię, która ich zupą poczęstowała, tym razem byli mniej szczęśliwi.

— Jestem już na miejscu — rzekł człowiek, który musiał być zapewne właścicielem tego domu.

Zaczął wołać, nadbiegła służąca.

— Dajcie każdemu z tych dzieci po dwie bułeczki, które piekli dziś rano. Do widzenia wam moje dzieci — rzekł zwracając się do nich. — Idźcie prosto pod górę, później skręćcie na prawo idąc brzegiem pola, wyjdziecie na drogę, która już prosto do zamku prowadzi.

Dzieci zjadły ofiarowany im skromny posiłek, poszły w kierunku wskazanej im drogi. Przystawali często dla

odpoczynku, nie wiedzieli, gdzie idą, zmęczenie wzmagało się z każdą chwilą.

Wpółśród ślicznej zielonej łąki, pasły się dwie krowy i koza z małym kozłátkiem.

— Szczęśliwe to koźle, ma mleka wiele zechce, ach jak jabym się mleka napił! — zalił się Melci Iwonek.

— Mleko tej kozy nie do nas należy, braciszku.

— To prawda, ale ja taki głodny, napiję się troszkę tylko, pół szklanki, nie zrobię tem krzywdy nikomu... To mówiąc położył się biedaczek na ziemi i zaczął ssać, tak jak mały koziołek.

— A złodzieju! będziesz ty mi kraść mleko mojej kozy!... — krzyknęła piskliwym głosem dziewczyna pasująca krowy, której dotąd nie spostrzegli — to dlatego ma ona teraz tak mało mleka...

Iwonek blady jak płótno, zerwał się w jednej chwili

— Daruj mu i nie rób nam przykrości — błagała Melcia, niemniej blada od braciszka...

Wiek młodzieńczy bywa często okrutnym; ta mała chłopka w łachmanach, pastuszka była, która nawet całej chuściny nie miała na plecach, nie znała litości, przeciwnie, czuła się uradowaną widząc strach ich obojga, pragnęła się znęcać nad nimi.

— O, nie pierwszy raz zapewne musicie kraść cudzą własność... założyłabym się, że i papierów przy sobie nie macie! A co, nie mówiłam — ciągnęła dalej, zachęcona jeszcze milczeniem Melci. — Byłam pewną, że jesteście jakieś włóczęgi, możecie w kozie siedzieli... Oho, zaraz się to pokaże, bo żandarmi nadchodzą.

I w jednej chwili skoczyła na drogę, wzniosła ręce do góry i zaczęła krzyczeć:

— Panowie żandarmi, proszę do mnie, na pomoc!...

— O zlituj się, daj pokój! — prosiła jeszcze Melcia, z przerażeniem widząc żandarmów, którzy skręcili w ich stronę, posłyszawszy nawoływania dziewczyny.

— Co się stało? — zapytał jeden z nich, mający galon na rękawie.

— Panie, oto złodziej, który wyssał mleko mojej kozie...

Na te słowa rozległo się łkanie, to Iwonek zalewał się łzami, ukryty za plecami siostry.

— Sluchajno, dziewczynko — zapytał wachmistrz żandarmów, zwracając się do Melci — czy i ty widziałaś jak ten chłopiec ssał mleko?

— To mój brat proszę pana, ta zła dziewczyna prawdę mówi.

— Wcale złą nie jestem — odciegła się pastuszka — to wy jesteście złodzieje...

— Mój braciszek był głodny i spragniony, a że w pobliżu nie było strumyka...

— No dobrze, zapłać za mleko które mały wypił, nie będę was zatrzymywał (żał mu się zrobiło, widząc przestрах dwojga dzieci)!. daj cztery grosze tej dziewczynie, będzie miała dosyć, bo tyle się płaci za szklankę mleka koziego.

— Niestety! nie mam ani grosza — odrzekła Melcia.

(d. c. n.)

*) Landes, miasteczko w Bretanii.

SZARADA.
ulożył Juliusz W.

*Pierwsza się w śpiewnej gamie znajduje,
Drugą ten mówi, kto co wskazuje,
Wszystko zaś będzie narzędzie znane,
Co w gospodarstwie jest używane.*

ŁAMIGŁOWKA SYLABOWA.

Ułożyli: K. Z. i J. W.

Ułożyć 18 wyrazów, których początkowe litery utworzą imię i nazwisko współczesnego powieściopisarza. Znaczenie wyrazów: 1) Imię poety z XVI w. 2) Rzeka w Szwajcaryi. 3) Dopływ Bugu. 4) Miasto w Kroacyi. 5) Tytuł dowódczy u Turków. 6) Wyspa Jońska. 7) Rzpl. w półn. Ameryce. 8) Imię żony Mieczysława Starego. 9) Rzeka w Szwajcaryi. 10) Wyspa Sundzka. 11) Król Wyszogotów. 12) Miasto we Włoszech. 13) Jezioro w Lombardyi. 14) Rzeka wpadająca do m. Północnego. 15) Miasto w półn. Włoszech. 16) Dopływ rz. Boh. 17) Miasto na Szląsku. 18) Imię słowiańskie.

Sylaby: na—za—jan—aar—a—ce—hon—a—ro—ja—
—a—sa—i—we—i—el—we—i—cie—zie—rew—grzeb—
—ga—res—du—de—dan—wa—la—ler—zeo—ba—ro—
kwa—szyn—mo—ar—laj—ras—da—ryk—no—na—wit.

REBUSIK.

ulożył Ulan z T.

Grun

a a a a a	al al al al al
a a	al al
a bit a	al dem al
a a	al al
a a a a a	al al al al al

ROZWIĄZANIE DO N-ru 22-go

Szarady: U — ciecz — ka.

Łamigłównki w trójkącie:

E d i s s o n
D o r p a t
I z y d a
S ą c z
S ę p
O ś
N

Łamigłównki kryształowej:

G
A a r
K o r f u
K o l i b e r
G a r i b a l d i
N o g a j c e
H a l l a
I d a
i

Skrzynka do listów.

„Niewiadomość grzechu nie czyni” mówi przysłowie, uwzględniłszy zatem prośbę *Tola R.* i jego siostrzyczek, zastrzegając sobie, że na przyszłość zechcą się stosować do warunków naszych. Za ofiarę rs. 10 na kolonie letnie, w imieniu biednych dzieci składamy podziękowania.

List *Córy Mazurów* starannie napisany, dołączony został przez pomyłkę do prób kaligrafii co spowodowało opóźnienie w odpowiedzi naszej. Naprawiając ten błąd mimowolny, spieszymy z zapewnieniem, że chętnie bardzo utrzymamy listowne stosunki z korespondentką, która wraz z pseudonymem starszej siostrzyczki przejęła jej życzywość dla nas. Chwalimy też, że *Córa Mazurów* nie usiłuje dochodzić tego, co drudzy w tajemnicy zachować pragną.

Dobre rozwiązania lamigłówek nadesłali: *Perelka* z Łodzi, wesoła *Figlarka*, *Leonek S.*, *Jadzia W.* i *Stas B.*

„Szanowna” *Jaskółka* z *Wieczorów* pozdrawia „szanownego” *Wróbelka* z *nad Indry*, który na uznanie ptaków i ludzi zasługuje, skoro nie zapomina o biednych i odłożonego z funduszków swoich rs. 1 przesyła na kolonie letnie.

Dziękuję ci *Perelko* z *Łodzi* za udzielony mi dokładny opis miasta twego rodzinnego. Gdyby tak wszystkie korespondentki moje zechciały skreślić podobny szkic miejscowości w jakich przebywają, mógłby się utworzyć ciekawy obraz bliższych i dalszych okolic, a *Jaskółka warszawska* nie potrzebując nawet posługiwać się skrzydełkami, poznałaby się z różnemi stronami kraju skąd ją głosy życzliwych czytelników naszych dochodzą. Pojedynczy numer *Wieczorów* kosztuje kop. 10, należność przesłać można markami pocztowemi.

Wesołym *Figlarkom* wesołość wszędzie towarzyszyć zwykła, nie też dziwnego, że przyjemnie ci zeszły dni *Zielonych Świątek* spędzone z rodzicami i rodzeństwem. Wycieczki w tej porze roku wpływają ożywczo na ludzi poważnego nawet usposobienia, a tem więcej napelniają radością istoty wolne od trosk i kłopotów, jakimi są wesoła *Figlarka* i życzliwa jej, skrzydłata

Jaskółka.

Przy kończącym się półroczu przypominamy odnowienie prenumeraty na

„WIECZORY RODZINNE,”

które wychodzić będą pod tymi samymi co dotąd warunkami i w tymże samym kierunku:

Prenumerata wynosi: w **Warszawie** rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1. — Na **provincyi** rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 kop. 50, kwartalnie rs. 1 kop. 25. — We **Lwowie** i **Krakowie** kwartalnie złr. 2. — W **Poznaniu** kwartalnie m. 3.